



PAMIĘTAJ!
BŁĘKITNY ZNACZEK
Z NAPISEM:
„OŚWIATA SPK”
P.D.I.C.

Prawda pieśni wielkanocnej

Rozdzwoniły się znowu w całym świecie chrześcijańskim zamilkłe w dniach żałoby Wielkiego Tygodnia dzwony, zwiastując ludziom „wesele wielkie”, głosząc triumf Ukrzyżowanego nad złymi mocami piekła i śmierci.

Od blisko dwóch tysięcy lat rozbrzmiewa w tym dniu zwycięstwa Zbawiciela we wszystkich językach globu pieśń wielkanocna ożywiająca serca zwątpiałe nadzieją, podobnie jak nadejście wiosny odradza i odnawia pogrążoną w śnie zimowym przyrodę.

W dziejach naszych, zwłaszcza w czasach niewoli, religijność spłatała się ściśle z patriotyzmem. Dlatego też i święto Zmartwychwstania Pańskiego obchodzono w naszej ojczyźnie z większym niż gdzie indziej pietyzmem, gdyż dla Polaka doroczną pamiątką triumfu Chrystusa niosła jednocześnie nadzieję lepszego jutra dla ujarzmionego narodu. Pięć pokoleń czekało na ziszczenie się cudu przekazując je drugiemu wiare niezłomną mimo upływu mnogich lat, nie nadwątloną niepowodzeniami, które spotykały walki prowadzone w ciągu

całego okresu rozbiorów o odzyskanie niepodległości.

Aż nadszedł dzień oczekiwany i naród polski odczławniejszy wolnością uwierzył, iż czas długiej nocy minął bezpowrotnie. Krótkie dwudziestolecie Polski odrodzonej zakończyło się jednak nową katastrofą, a jej skutki trwają po dzień dzisiejszy. Polski wielki post zaczął we wrześniu 1939 r. ciągle trwa; naród znosi ucisk jakiego nie znał dotąd dzieje i zagrożony jest śmiertelnie w swoim jestestwie jako społeczność ukształtowaną wpływami kultury chrześcijańskiej. W zamaskowanej pozorami suwerennego bytu niewoli obchodzi Polska Wielkanoc łącząc się z nami, przebywającymi na dobrowolnej tułaczce w tęsknocie do prawdziwego wyzwolenia i pokoju.

Gdy w kraju wzmaga się terror sowiecki, a grzmoty nadchodzącej burzy dziejowej trwożą serca nasze — wspomnijmy w dniu wielkanocnym prawdę Zmartwychwstania, objawioną przez Ukrzyżowanego, którego słowa dochodzą do nas poprzez czas minionych wieków niosąc pokrzepienie i pocie-

chę: „Ufajcie, jam zwyciężył świat!”.

Przed świtem noc jest najciemniejsza, ale nie materialna to była moc, która odwalila kamień grobowy o brzasku trzeciego dnia. Nie zapominajmy więc o potędze moralnej, którą mogą zgromadzić i przeciwstawić ziu ludzie wolni i wierzący. Elementy tej siły wykrzesać może we własnej duszy każdy Polak a czas wielkanocny może być momentem uświadomienia sobie tej prawdy, którą zawaria w sobie staropolska pieśń wielkanocna:

„Chrystus zmartwychwstał
jest
„Nam nam przykład dan
jest,
„Iż mamy zmartwych-
wstać...”

Kongres Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii

W dniach 11 i 12 bm. w salach „Orla Białego” odbył się nadzwyczajny Kongres Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Zwołanie Kongresu nastąpiło w związku z koniecznością wyboru nowych władz Zjednoczenia, spowodowanego śmiercią zasłużonego działacza społecznego śp. Józefa Rożańskiego, b. prezesa Zjednoczenia.

Kongres był licznie obsesany. Około 120 delegatów reprezentowało ponad 30 organizacji członkowskich Zjednoczenia.

Obrazy otworzył p. o. prezesa Zjednoczenia p. S. Grocholski wzywając obecnych do powstania i uczczenia przez chwilę ciszy pamięci zmarłego prezesa śp. Józefa Rożańskiego. Następnie w zagajeniu swoim zwrócił uwagę na niepokojącą sytuację wytworzoną różnicą poglądów przedstawicieli stowarzyszeń członkowskich na niektóre zagadnienia organizacyjne i zaapelował do zgody.

Kongres wybrał na przewodniczącego inż. Z. Gołębiowskiego, który okazał się doskonale na tym stanowisku, zyskując powszechne uznanie spokojnym i umiejętnym przewodnictwem.

Obrazy rozpoczęły się w atmosferze dużego napięcia. Sprawą kontrowersyjną, która spowodowała burzliwą i ostrą dyskusję, zakończoną szeregiem oświadczeń, była kwestia przyjęcia związków regionalnych do Zjednoczenia. Kongres potwierdził decyzję Rady przyjęcia tych związków w poczęt organizacji członkowskich. Zagadnienie to przejawiało się przez oba dni obrad i ciągle groziło całości Zjednoczenia. W rezultacie zgromadzenie pomimo dużych różnic zdań znalazło w końcu przy dużych ustępstwach formułę kompromisową.

Drugim zagadnieniem, które również wywołało dosyć długą i wyczerpującą dyskusję, była sprawa składek

członkowskich. Postanowiono, że do przyszłego Kongresu Rada Zjednoczenia może obniżyć w pewnych wypadkach organizacjom członkowskim wysokość składek co najwyżej jednak o 25%. W ten sposób wprowadzono ograniczenia w stosunku do dotychczas daleko idących obniżek.

Ustępujące władze złożyły obszerny i wyczerpujący sprawozdanie uwypuklając pracę Zjednoczenia jako związku związków, w zagadnieniach: reprezentacji społeczeństwa polskiego wobec władz brytyjskich, koordynowania współpracy międzyorganizacyjnej, oraz inicjowania różnych akcji społecznych.

Dyskusja nad sprawozdaniami toczyła się żywo i rzeczowo, dając sporo materiału dla Komisji Statutowo-Programowej oraz Kulturalno-Oświatowej. Na zakończenie pierwszego dnia delegaci uchwaliли absolutorium z podziękowaniem dla ustępującego Zarządu.

Pracę Komisji Statutowo-Programowej i Kulturalno-Oświatowej, które trwały przez przedpołudnie drugiego dnia obrad Kongresu zo-

stały przyjęte na plenum z małymi poprawkami.

Wreszcie, późnym wieczorem drugiego dnia obrad odbyły się wybory do władz Zjednoczenia. Prezesem Zjednoczenia został wybrany przez aklamację E. Kozłowski, prezes Oddziału SPK Wielka Brytania. Nowoobranym Prezesem Zjednoczenia w krótkim przemówieniu stwierdził, że w pracach swoich zawsze kierować się będzie jedynie względami na dobro ogólnej sprawy polskiej oraz zgodnie z celami, dla których Zjednoczenie zostało powołane do życia. Do Zarządu zostali wybrani: H. Archutowski, M. Arciszewska, S. Borczyk, T. Bugajski, O. Czarliński, Z. Jordan, F. Miśczak, S. Nebelski, A. Sierż i A. Szczypiorski.

Oceniając ogólnie wyniki Kongresu należy z uznaniem podkreślić fakt, że organizacje społeczne reprezentowane na Kongresie przez swoich delegatów potrafiły pomimo początkowych trudności i nieporozumień w niektórych sprawach, uzgodnić jednak swoje stanowisko, dając tym do wód, że tak zwana zgoda narodowa jest możliwa, jeżeli istnieje dobra wola.

Książki o Armii Krajowej

Wspomnienia gen. Tadeusza Bora - Komorowskiego wydane nakładem Victora Gollanca, Londyn 1950, stron 407, cena 21 sh — są nie tylko opisem przeżyć autora. Na tle osobistego udziału w polskim ruchu podziemnym autor, początkowo organizator podziemia w obszarze Kraków, później zastępca dowódcy AK, a od lipca 1943 r. jej dowódca, daje ogólny rzut warunków kraju. Jako uczestnik decydujących wydarzeń gen. Bór Komorowski rysuje bardzo barwny ich obraz nie tylko na szczeblu naczelnych władz podziemia ale wplata wiele fragmentów i opisów z zakresu walki AK oraz życia kraju pod okupacją. Duża część książki poświęcona jest powstaniu warszawskiemu.

Książka wydana po angielsku spełni dobrze swe zadanie zorientowania przeciętnego czytelnika angielskiego o udziale Polski w wysiłku zbrojnym drugiej wojny światowej.

Wyszło z druku opracowanie Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego pt. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, tom III Armia Krajowa, nakładem Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, Londyn 1950, stron XXII plus 972, cena £ 1.18.0. Pierwsze dwie części książki opisują ogólnie położenie kraju, organizację AK i przygotowanie do walki czynione we wszystkich dziedzinach życia. Części 3, 4 i 5 zawierają opis walki kraju we wszystkich jej przejawach, a więc: sabotaż, dywersja, propaganda dywersyjna, partyzantka, akcja prowadzona w r. 1944 pod kryptonimem „Burza” i powstanie warszawskie. Część 6 poświęcona jest położeniu i walce kraju po powstaniu warszawskim aż do rozwiązania AK, to jest do 19 stycznia 1945 r. Książka zaopatrzona jest w przypisy z wykazem źródeł, skrowidze nazwisk, miejscowości i skrótów.

DOM KOMBATANTA W LONDYNIE

16-20, Queens Gate Terrace, S. W. 7 Tel. WES 0747

Hotel — Kawiarnia — Restauracja
Bar — Sala do zebrań — Fryzjer

Z a ł a t w i a: paszporty, wize, transfer pieniędzy, bilety kolejowe, lotnicze, morskie, ubezpieczenie pasażerów i bagażu, przeprowadzki międzynarodowe, organizuje wycieczki do Londynu z Anglii i kontynentu, transport do USA i Kanady

Adres dla korespondencji: Kierownik Domu Kombatanta, 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7

Spiesz się z wysłaniem paczki do kraju NA SEZON WIOSENNY

POLECAMY:

Spadochrony nylonowe białe i kolorowe, pończochy nylonowe w najwyższym gatunku, mocne trzewiki czarne i brązowe, buty z cholewami używane w dobrym stanie, materiały na ubrania, płaszcze i kostiumy, lekarstwa po cenach kontrolowanych

Zamówienia wykonujemy natychmiast

CENTRALA HANDLOWA SPK

P. C. A. STORES

57, Edbrooke Road, London, W.9. Tel.: CUNningham 5594 lub jej

SKLEP W DOMU KOMBATANTA

18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7

Meldunek chorążego Wirszyły

Już się dobrze na Wielkanoc zbierało, kiedy chorąży Wirszyły postanowił zameldować się u Pana Boga. Nadojadła mu angielska ziemia, łożko w inwalidzkim hostelu, nadojadła mu — prawdę powiedziawszy — angielska mowa. Smutno co prawda było umierać nie po żołniersku, przykro myśleć o cywilnym grobie, ale... trudna rada. Amerykanie z bombą wodorową nie chcą się spieszyć, Stalin na ziemi ojczyzny robi kochozy, rodziny nie ma — na co czekać?

Gdzieś tak chyba koło północy umarli sobie cichutko chorąży Wirszyły. Zmęczone żołnierskie serce ścisnęło się trochę mocniej. Śmierć, jak siostra miłosierdzia zimny pot z czoła otarła, nikt tego nie widział, nikt nie słyszał — i good bye! Bez hałasu.

Droga do Nieba nie jest taka trudna, jak się to na ziemi ludziom wydaje. Popłynął sobie w górę Wirszyły, jakby od dzieciństwa samoloty pilotował — tylko gwiazdy mrugały na skrzyżowaniach. Nawet podobiała mu się niebieska regulacja ruchu. Wszystko od razu wiadomo. Zorientował się na Gwiazdę Polarną, wymiął Wielki Wóz — a stamtąd to już prosto jak strzelił po Mlecznej Drodze. Nawet się nie obejrzał, jak trzeba było przyhamować przed Srebrnymi Wrotami do Nieba.

Ze Świętym Piotrem nie chciał wdawać się w długie rozmowy. — Idę — powiedział — na ostatni meldunek. Trzydzięci lat w wojsku służyłem. Chorąży jestem. Jeszcze w 1 Pułku Szwoleżerów chorążego mi dali. Ostatni przydział broń pancerna. Nogę zostawiłem pod Monte Cassino. Dlatego... według regulaminu przysługuje mi meldunek u Wodza Naczelnego. Prowadź mnie Pietrze do Pana Boga.

Nie podobano się to Świętemu Piotrowi, bo już niejednego cwaniaka widział, który bezprawnie chciał się wpełznąć do Nieba. Ale Wirszyły mocno obstawał przy swoim. Zresztą... dobrze mu z oczu patrzyło, w-

sy miał sumiaste, twardo stukał protezą, a na pierśsiach błyszczał nawet Krzyż Virtuti Militari.

— Zacoście to dostali? — spytał Piotr.

— Za „Przedmurze Chrześcijaństwa“. „Cud nad Wisłą“ robiłem w 20 roku...

Na to już nie było odpowiedzi. Na taki argument nawet Święty Piotr traci rezonans. Otworzył wobec tego bramę i zawołał dwie Anielice, aby Chorążego do Pana Boga wiodły.

Popatrzył na nie Chorąży i zaraz, po polsku, komplementy sypnął:

— Wierzyć mi się nie chce, że takie piękne niewiasty w Niebie się marnują...

Anielice nic nie odpowiedziały, tylko obrzuciły Chorążego takim wzrokiem, że stracił wszelką ochotę do gadania.

Szli tak z godzinę niebieskimi ugorami, a czym bliżej było do Pana Boga, tym większy lęk do serca Wirszyły się wkradał. Jakies zorze nieziemskie budziły się na horyzontach, niosło się jakieś majestatyczne granie.

Wielkie było zdziwienie Wirszyły, gdy nie zobaczył Pana Boga na złocistym tronie. Pan Bóg siedział sobie po prostu na przydrożnym kamieniu, ubrany był nie szczególnie, siwą brodę wiatr mu rozwiewał. Tylko po oczach można było poznać Pana Boga. A oczy te tak patrzyły, że zdawały się widzieć wszystko od razu. I to, co jest, i to co było, i co będzie. Stracił żołnierski tupet Wirszyły.

— No i cóż mi powiecie Chorąży? — Pan Bóg zapytał.

Wypreżył się na baczność Wirszyły, ale meldunek mu się nie udał. Coś go za gardło dławić zaczęło, słowa się poplątały.

— Bardzo przepraszam za śmiałość, — zaczął się jakaś — ale przyszedłem się zameldować, Panie Boże na Wysokościach. Inwalida jestem, bez Ojczyzny, życie już nadojadło...

— A czemuż to nadojadło? — Pan Bóg zapytał.

— Ano... wojny my nie wygrali... Chałupa pod Wilnem została... Żona i dzieci na Syberii pomarli... Niepotrzebny już ja na ziemi, Panie Boże Wszzechmogący...

— Twoim dzieciom już się krzywdą nie dzieje — powiedział Pan Bóg. — Zobacz no, jak się bawia...

Podniósł Pan Bóg rękę do góry i Wirszyły nagle na polanie niebieskiej swoje dzieci zobaczył. Kwiaty dla Pana Boga zbierały, a każdy kwiat srebrem dzwonił. W oczach ich było tyle radości, ile smutku w sobie Wirszyły nosił. Już chciał biec do dzieci, ale Pan Bóg znowu je chmurą zastonił.

— Zaczekaj — powiedział. — Jeszcze się z nimi nabawisz i nacieszysz. Co ci tak spieszy do Nieba?

— A co tam będę Anglikiem chleb zjadał, Panie Boże... Przecież do Polski my nie wrócimy...

Tym razem Pan Bóg gniewnie spojrzął na Wirszyłę. — Ty mi tu — pogroził — Wyroków Boskich nie ustalaj. Moja to sprawa, a nie twoja. Jak mi wszyscy zaczniecie umierać, to kto potem Polskę na moją chwałę budować będzie? Kto żyto zasieje? Odmeldujcie się, chorąży Wirszyły. Jak przyj-

dzie czas, to sam was zawezwę do raportu. A na razie... pozostaniecie w ewidencji u generała Andersa... Zasalutował Chorąży, prawdziwo zrobił w tył zwrot, i zgodnie z rozkazem z powrotem na ziemię pomaszrował.

A rano znowu w baraku oczy otworzył. Serce biło równo, tylko po Niebie niosło się dalej jakieś dzwonięcie, jakieś granie.

— Niech Pan Chorąży wstaje — powiedział sierżant Grzelak, który pod Monte Cassino obie nogi stracił. — Wesoly nam dziś dzień nastał! Wielkanoc!

Zerwał się Chorąży czym prędzej, buty wyglansował, odświeżył mundur przywdział, zawiesił order. Słońce złotym promieniem zająrzało przez szybę, jakby na inspekcję.

— Według rozkazu — powiedział chorąży Wirszyły.

— Co, Panie Chorąży? — zdziwił się Grzelak.

— A no nic... zameldowałem tylko wykonanie rozkazu.

— Komu? — Panu Bogu. I w ogóle o nie wasza sprawa, Grzelak. Idziemy do kościoła.

A w kościele — jak to w kościele. Pan Bóg patrzył słońcem przez kolorowe szyby i razem z żołnierzami śpiewał „Hosanna“.

Ryszard Kiersnowski

Audycje radiowe w języku polskim

Otrzymałmy ostatnio szereg listów od naszych Czytelników z prośbą o ponowne podanie czasu i długości fal audycji radiowych w języku polskim. Czyniąc zadość powtarzamy program i uzupełniamy go.

Radio Londyn. Nadaje 4 audycje dziennie o godz. 06.30 — 06.45 na falach krótkich 49.59 i 41.21 m; na falach średnich 464, 263 i 232 m; na falach długich 1.500 m. O godz. 14.30 — 14.45 na falach krótkich 40.98 i 25.15 m; na falach średnich 232 m. O godz. 19.30 — 20.00 na falach krótkich 49.59, 40.98 i 31.17 m. O godz. 22.30 — 23.00 na falach krótkich 40.98, 31.17 m, na falach średnich 232 m.

Głos Ameryki. Transmisje 9 audycji nadawanych względnie powtarzanych w następujących godzinach: 17.15 — 17.45 na falach krótkich 40.98, 31.45, 31.17, 25.15,

19.65, 16.87, 13.95 m; na fali średniej 232 m. Następnie w godzinach: 21.30 — 22.00 na falach krótkich 41.67, 41.38, 31.45, 30.93, 25.45, 24.80, 25.62, 19.67, 16.87, 13.95, 13.94 m. Audycja ta jest powtarzana w godzinach: 24.15, 01.45, 02.15, 07.45, 13.45, 14.15 i 14.45 na falach krótkich 49.34 i 41.38 m.

Radio Wolnej Europy. W dniu 4 sierpnia ub. r. rozpoczęło nadawanie codziennych audycji o godz. 8.30 rano i wieczorem o godz. 11.00 w paśmie 49 m.

Radio Paryż. Nadaje codziennie o godz. 20.00 — 20.45 na fali krótkiej 41.5 m oraz w paśmie 47 i 48 m, jednakowoż jest to kwestia przypadku i na tej długości odbiór jest znacznie gorszy.

Radio Lille. Nadaje codziennie z wyjątkiem niedziel o godz. 18.30 — 19.00 na fali średniej 235 m.

Radio Watykańskie. Nadaje codziennie audycje religijne o godz. 18.00 — 18.30 na falach 31.10, 19.87, 25.55 i 196 m oraz o godz. 20.15 — 20.30 na falach 31.10, 50.26, 25.55 i 196 m.

„Głos Polski“ w Radio Rzymskim. Nadaje codziennie o godz. 18.00 — 18.30 na falach krótkich 19.8 i 25.4 m.

Radio Stuttgart. Każdej pierwszej niedzieli miesiąca nadawane są audycje religijne o godz. 18.15 na falach średnich 525 i 575 m oraz na falach krótkich 49.5 m.

Radio Madryt. Nadaje codziennie o godz. 20.30 — 21.00 na fali krótkiej 32.4 m.

Radio Ankara. Nadaje codziennie o godz. 19.30 — 19.45 w paśmie 31.71 m.

Radio Montevideo. Audycje polskie prowadzone są w każdą niedzielę o godzinie 19.15 — 19.30 na fali krótkiej CXA 19, w paśmie 25 m. Ta sama audycja w języku hiszpańskim nadawana jest bezpośrednio po audycji w języku polskim.

Radio Kurytyba w Brazylii. Programy polskie nadawane są w języku portugalskim.

Radio Caribe na Kubie. Audycje w języku hiszpańskim w duchu niepodległościowym.

Poszukiwania

Bronisław Cembala, ostatni adres — 25, Station Road, Borrowash, Derby.

Aleksy Kojko, ostatni adres — 16, Cornwall Place, Man-ningham Lane, Bradford.

Irena Wojakowska, ostatni adres — 19, Mill Lane, London.

Paweł Putenko (Butenko) ostatni adres — Miners Hostel, Eastwood, Notts.

Wszystkie wiadomości o wyżej wymienionych przesyłać do Zarządu Głównego SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

UWAGA!

P. Bienieda, proszony jest o skomunikowanie się osobiste lub listowne z Zarządem Głównym SPK, Wydział Prasowy — 18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, celem zakomunikowania mu ważnej wiadomości w sprawie stryjecznego brata Stanisława.

BIBLIOTEKA DOMU KOMBATANTA W LONDYNIE

jest czynna codziennie w godz. 13-15 i 17.30-20.30 w niedziele w godz. 12-14.30 W święta Biblioteka nieczynna

Odczyty w Szkocji na tematy krajowe

Koło Nr 25 w Edynburgu wystąpiło z inicjatywą zorganizowania cyklu odczytów na tematy krajowe nie tylko dla swoich członków, ale i dla szerokiej publiczności polskiej Edynburga i okolicznych hosteli.

Inauguracyjną prelekcję wygłosił 10 bm. w przepięknej sali edynburskiego Domu Kombatanta kol. red. Wacław Sikorski, który mówił na temat: „Rokossowski i siły zbrojne w kraju“.

Opierając się na bogatych źródłowych materiałach prelegent w przeszło godzinny

wywodzie omówił szczegółowo zagadnienie sowiezizacji sił zbrojnych w kraju kończąc prelekcję mocnym akcentem patriotycznym.

Zebrał, w którym wzięli udział m. in. rektor Misji Katolickiej na Szkocję, ks. dr L. Bombas, gen. gen. Maczek i Schally oraz wielu miejscowych działaczy społecznych, a któremu przewodniczył prezes Koła doc. dr S. Mglej — było jakby cichą manifestacją gorących uczuć Polonii edynburskiej dla kraju ojczystego.

W niedługim czasie red. Sikorski wygłosi wspomniany odczyt w szeregu innych większych ośrodków polskich na terenie Szkocji.

Następna prelekcja w Edynburgu w ramach wspomnianego cyklu odczytów odbędzie się 4 kwietnia o godz. 19.30 w Domu Kombatanta. Płk A. Morbitzer mówić będzie o sześcioletnim planie gospodarczym w Polsce.

KAŻDY KOMBATANT CZYTA SWOJE PISMO!

„Spadochroniarstwo wczoraj i dziś“

W czwartek, 15 bm. w sali Domu Kombatanta w Londynie Związek Polskich Spadochroniarzy łącznie z Kołem SPK „Spadochroniarz“ zorganizowały odczyt płk rypł. S. Jachnika, prezesa Rady Oddziału Brytania, pt. „Spadochroniarstwo wczoraj i dziś“, połączony z wyświetleniem filmu „Their's is the Glory“.

UWAGA! UWAGA! UWAGA!
MANCHESTER — NOTTINGHAM — CAMBRIDGE

Święta Wielkanocne

polecamy po cenach konkurencyjnych WSZELKIE ARTYKUŁY ŻYWNOSCIOWE a w szczególności: KIEŁBASY różnych gatunków, ŚLONINĘ, KAPUSTĘ, OGÓRKI, BISZKOPTY, SERY, SOKI, MIĘSA w puszkach, PRZYPRAWY itp.

SKLEPY CENTRALI HANDLOWEJ SPK P. C. A. STORES

27, Wilmslow Rd., 22, London Rd., 35, Union Rd.
MANCHESTER 14 NOTTINGHAM CAMBRIDGE
Zapraszamy do odwiedzenia naszych sklepów!

Poszukuje się spadkobierców L. Seredyńskiego

Wykonawca testamentu po śp. Leonie Karolu Seredyńskim, zmarłym 27.10.1950 r. w Afryce Południowej, poszukuje krewnych zmarłego. Spadek wynosi około £ 300. Informacje i zapytania w tej sprawie należy kierować do Biura Informacji i Porad SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Praca w Ameryce

Do BIP-u wpłynęła następująca oferta od jednego z Polaków w Stanach Zjednoczonych:

„Chcę sprowadzić kilka samotnych kobiet do pracy domowej. Muszą być chętne, zdrowe i chcące pracować w tym zawodzie. Płaca od 30 dol. na początek plus mieszkanie i jedzenie. W bogatych domach amerykańskich“.

Wpłynęła również oferta na pracę w Stanach dla dwóch samotnych tapicerów.

Korespondencję kierować na adres BIP-u, jak w notatce wyżej.

JAN TOKARSKI

PAPIEŻ PIUS XII „U SIEBIE”

SWIĘTY GRZEGORZ VII przez 25 lat bronił się przed godnością papieską. A kiedy po śmierci Aleksandra II zgomadzenie u św. Piotra w Okowach porwało go na ramiona wśród jedynymyśnego okrzyku: „Hildebrand wybrańcem Piotra” — niezłomny kardynał protestował z całej mocy. „Lecz darmo lamentowałem, a gardło wyszło mi od krzyku. Ogarnęła mną zgroza i przerażenie, a ciemności zewsząd obległy mą duszę”. — Tak napisał potem do opata Dezyderyusza z Montecassino.

Dobry, staby, nieszcześliwy Hadrian II, który dwukrotnie nie przyjął wyboru, zostawiając wreszcie Papieżem (po Mikołaju I), mawiał, że papieżstwo jest największym nieszczęściem, jakiego można życzyć wrogowi.

Innocenty II zgodził się na wybór dopiero pod groźbą kardynałów, że rzucą nań klątwę. Jego poprzednik Honoriusz II konając, widział z okna klasztoru na Coeliusie, dokąd się schronił, jak zbierają się już, wrogię sobie i biorące się za łby, konkurencyjne stronnictwa na obiór nowego Rządcy Kościoła. A że wybór nie może być dokonany przed pochowaniem zmarłego Papieża, ciepłe jeszcze ciało Honoriusza zostało pospiesznie wrzucone do ziemi przy klasztorze św. Grzegorza Wielkiego, który ongiś — uciekał przed papieżstwem do samotnej jaskini.

Gdy późniejszy Pius X otrzymał w pierwszym głosowaniu 5 głosów, był przekonany, że kardynałowie czynią sobie zarty jego kosztem. W swej pokorze bowiem uważał za niezastąpiony zaszczyt już to, że „taki jak on” może brać udział w elekcji Papieża. Pewnej damie, która mu oświadczyła, że modliła się do Ducha św., aby on został wybrany, odpowiedział: „To pani ma bardzo nędzne pojęcie o Duchu św.”. A kiedy wreszcie na konklawe stało się jasne, że zostanie Papieżem, zasiał pod wrażeniem straszliwego uciężaru, odpowiedziałności.

Żelaznej, żeby nie powiedzieć — chwila mi nawet okrutnej ręki — Sykstus V skarżył się, iż lepiej by mu było być zmywaczem naczyń w swym franciszkańskim klasztorze, niż Papieżem, a Paweł III stwierdzał, że zamieniliby klucze Piotra — od Innocentego III symbol władzy papieskiej — na klucze klasztornego odźwiernego.

Poprzednik burzliwej pamięci Bonifacego VIII, św. Celestyn V, syn biednego chłopca z Isernii, benedyktyński pustelnik, powitał izami przestachu wieść o swym wyborze, a w 5 miesięcy później zrezygnował z godności, z jej ciężaru ponad swe siły, za co namiętny Dante umieścił go w piekle, ale za co chwalił go Petrarka, św. Antonin, św. Robert Bellarmin. Na konsystorzu w dniu 13 grudnia 1294 roku, ubrany we wszystkie insygnia swej władzy, pustelnik-Papież oświadczył: „Ja, Celestyn V, Papież, pod wpływem usprawiedliwionych motywów, to znaczy z pokory, dla chęci lepszego życia, dla czystego sumienia,

z powodu słabości ciała, braku wiedzy, z powodu złości ludu, osobistej niezdolności, pragnąc odzyskać spokój poprzedniego stanu, nieprzymuszenie i dobrowolnie ustępuję z papieżstwa i wyraźnie rezygnuję z miejsca, godności, urzędu, zaszczytu, dając wolną i pełną władzę kolegium kardynałskiemu dokonania wyboru Pasterza Kościoła Powszecznego”. Potem zjął wszystkie oznaki swej władzy i godności i pokornie usiadł u nóg kardynałów.

Droga Papieża bowiem — to droga krzyża, a tron jego prawdziwie jest utwierdzony na Golgocie. Nic dziwnego bowiem, Papież — to namiestnik Jego, o którym Kościół śpiewa: Regnat a ligno: króluj z drzewa. Króluj — z krzyża. Może też żaden Papież w czasach nowożytnych nie uginał się tak jawnie, tak na oczach całego świata, pod ciężarem świata, jak świętobliwy; dziś Czciogodny Sługa Boży, od 8 czerwca tego roku — Błogosławiony Pius X. Surowo też zakazał wszelkich owacyj i radosnych okrzyków na swą cześć, którymi od wieków lud rzymski witał następców Rybaka — i płynął przez Bazylikę na sedia gestatoria wśród skupionej ciszy wiernych — jak dobroć wcielona, ale i jak smutek wcielony; smutny smutkiem swego Miśta! skarzającego się w Ewangeli: Smutna jest dusza moja aż do śmierci.

Kiedy dziekan i prodziekan św. Kolegium zapytali Eugeniusza Pacelli, czy przyjmuje prawny wybór na Biskupa Rzymu, przyszły Pius XII zawałał się, zanim odpowiedział: „tak”. Odbierając potem obediencję św. Kolegium, kiedy zasiadł na sedia przed ołtarzem, a kardynałowie przechodzili jeden po drugim, całując stopę i rękę Papieża, Pius XII szeptał bez przerwy:

„Miserere mei Deus” — „Boże, zmiłuj się nade mną”!

Z wyjątkiem może, pod pewnymi względami, Benedykta XIV, nie było dotąd Papieża popularniejszego, niż Pius XII. Rok Święty wzmógł jeszcze bardziej zainteresowanie nie tylko jego pontyfikatem, ale i jego osobą. Zwłaszcza Amerykanie ze swoją ciekawością realiów i dziecięcym konkretywizmem, w niezliczonych artykułach i w licznych książkach wyszperali zda się wszystko, co można powiedzieć o człowieku Piusie XII, o „Papieżu u siebie”, „w domu”. Od święta i na codzień. Z tych publikacji możemy się dowiedzieć nie tylko o rozległych zainteresowaniach Piusa XII w różnych dziedzinach kultury, o jego wielkich bólach i wielkich radościach, ale i o tym, co je, jaką zupę lubi najbardziej, jak jest urządzona jego łazienka, jakiej maszyny używa do golenia i jak pozwolił się nią kiedyś ogolić „na spróbowanie”, swemu fryzjerowi, gdy zdumiony barbiere protestował, widząc, że — wtedy jeszcze kardynał Pacelli — goli się bez mydła. (Maszynka bowiem jest elektryczna)...

Ala zanim przebiegniemy przez jeden dzień życia Papieża: pozwól sobie przypomnieć drukowane przed paru laty przeżycia szwajcarskiego malarza Hermanna Barrensheena, który portretował Piusa XII. Spojrzenie artysty powie nam, jakie wrażenie wywiera zewnętrzna i duchowa sylwetka Ojca św. na ludziach, którzy się z nim stykają:

„Z pismem upoważniającym do specjalnej audiencji, weszliśmy z żoną do Watykanu. Przechodząc z sali do sali, dotarliśmy w końcu do niedużego pokoju, gdzie owo pismo oddałem. Zapowiedzia-

no nam, że Ojciec św. wkrótce nadejdzie. Poprzednio już przygotowałem szkic portretu, by go podać krytyce Ojca św. Rozwijając właśnie rysunek na podłodze, gdy stojący przy drzwiach ksiądz rzekł:

— Jego Świętobliwość Pius XII.

I oto stanął przed nami Pius XII. Zbliżywszy się podał nam rękę, którą ucałowaliśmy, schyliwszy się w niskim ukłonie.

Widziałem poprzednio wiele fotografii Ojca św. Jednak ten, na którego patrzyłem teraz, był zupełnie do nich niepodobny. Ogarnęło mnie wielkie wzruszenie i drżałem pod wpływem poczucia bezradności. Ojciec św. jest bardzo wysoki, chudy, wysmukły. W szlachetnych rysach widać wyraz tragicznej troski. Zaiste, stało przede mną wcielenie cierpienia całego świata, cierpienia tej ludzkości, która błądzi i łudzi się, a cierpienia jej przeniknęły w głębi duszy tego człowieka.

Brwi, a zwłaszcza lewa, uniesione w górę. Cera, jak na Włocha, biała. Gładko ogolona twarz przeblyskuje siwym zarostem, a włosy na głowie są srebrne. Wyjątkowo wysokie czoło wydaje się jeszcze wyższe, gdy Papież chylił głowę częstym ruchem. Głowa jest bardzo mała, a twarz wąska. Zauważyłem jako malarz wielokrotnie, że często wielu ludzi mają małe głowy.

Brwi i oczy ciemno brązowe, właściwie czarne. Zrenice — powiększają je niewątpliwie okulary, w złotej oprawie — zrenice kryją w sobie płomienną siłę. Dwie głębokie bruzdy po obu stronach ust biegają od nozdrzy do szczęk jak wryte w niezmiernie poważnym obliczu.

ZA PRZYCZYNĄ KRÓLOWEJ JADWIGI Świadectwo gen. J. Hallera o niezwykłym uzdrowieniu

W związku z przygotowawczym procesem do beatyfikacji królowej Jadwigi generał Józef Haller złożył zeznanie o uzdrowieniu jego matki za przyczyną świętobliwej królowej.

Uzdrowienie nastąpiło w dniu 12. IV. 1938 r. w klinice chirurgicznej w Krakowie, gdzie 92-letnia matka generała Hallera leżała w ciężkim stanie, ze zlaną kością biodrową, częściowym paralizem i zapaleniem płuc. Lekarze nie robili żadnych nadziei. Gen. Haller i jego rodzina rozpoczęli modły przy grobie królowej Jadwigi na Wawelu, które trwały przez noc do następnego ranka, kiedy o g. 10 prof. Glatzel zawezwał generała i oświadczył, że matka jego jest zupełnie zdrowa. Lekarze nie mogli wytłumaczyć niezwykłego wyleczenia; zrośnięcia kości, zagojenia się płuc i ustąpienia paralizu.

Własnoręcznie opisane przez generała Hallera powyższe wydarzenie wręczono zostało obecnie postulatorowi sprawy kanonizacji kró-

lowej Jadwigi, O. Ricciardi. Czytamy w nim m. i.

„Modliłem się o to uzdrowienie, odmawiając litanie jako nowenne od chwili odebrania telegramu od mojej siostry Anny z Krakowa, wzywającej mnie do łóżka ciężko chorej matki.

„Pamiętam, że przyjechałem po południu w piątek do Krakowa. Na dworcu oczekiwała mnie siostra moja i po złożeniu rzeczy w hotelu Polskim udałem się z nią na klinikę prof. Glatzela. Matkę zastałem w bardzo ciężkim stanie (miała lat 92). Była częściowo sparaliżowana, twarz miała wykrzywioną i nie mogła słowa przemówić. Powiedziałem profesorowi, że jutro, t. j. w sobotę, odprawiona będzie Msza św. na intencję uzdrowienia mojej matki.

„Wysłuchaliśmy Mszy św. na Wawelu przy ołtarzu Chrystusa Ukrzyżowanego zwanego Czarnym, gdzie w swoim czasie modliła się świętobliwa królowa Jadwiga. Po Komunii św., do której przystąpiliśmy, modlili-

śmy się przy grobie królowej Jadwigi po czym około godz. 10 rano udaliśmy się na klinikę.

„Zdziwiło mnie, że pielęgniarka powiedziała: Profesor prosi, by Pan Generał przed odwiedzeniem matki wstąpił do niego. Profesor uściśnął mi gorąco rękę, mówiąc, że matka jest zdrowa i może choćby dziś opuścić klinikę. Dodał, że wprawdzie nie wie, jak się to stało, ale że paraliż całkowicie ustąpił. Absolutnie pojąć nie może, w jaki sposób płuca, tak zagrożone i u osoby w tak poważnym wieku, mogły się tak szybko wyleczyć. Mogę tylko stwierdzić, że płuca są całkowicie zdrowe, a jak się to stało, nie wiem.

„Spisałem to dziękiżne oświadczenie osobiście, przypominając sobie owo zdarzenie dzień po dniu i godzinę po godzinie, dla stwierdzenia cudownego uleczenia mojej matki za pośrednictwem królowej Jadwigi”.

Podpisano: Józef Haller, Londyn dnia 19 listopada 1949 roku.

Życie i cierpienie, dwaj najwięksi artyści, stworzyli oto arcydzieło: postać doskonałego ascety. Od Ojca św. promienieje uduchowienie, szlachetność, pokora. Wszystko w nim i on sam zdaje się być zdematerializowane, ten widok przejmującą czcią i głębokim współczuciem. I głos jest w doskonałej harmonii z tą zwiewną postacią: jest delikatny, wysoki w tonie i niemal pozbawiony materii.

Pius XII przeprósł mnie najpierw, że dla jego portretu musiałem odbyć „tak długą podróż”. Wśród rozmowy skierowałem niepostrzeżenie Ojca św. w krąg lepszego światła. Porównałem szkic z modelem i wziąłem się gorączkowo do pracy.

Zmieniałem. Usunąłem niejedno, dodałem niejedno. Uznałem, że przede wszystkim trzeba wnikać w głębi tego człowieka, aby uchwycić wyraz jego oczu. Dla artysty jest to zawsze najbardziej fascynujący problem. Muszę w te oczy na portrecie wlać owo wewnętrzne światło, owo trochę i smutek, po prostu wyrazić ducha całego świata, który się w nich odbija. Trzeba oddać te oczy!

A teraz ręce! Cóż za cudowna para rąk. Długie, szlachetne, subtelne. Piękny jest każdy ruch smukłych i kształtanych palców. Pochłonęły mnie ruch i wyraz modelu. Była to jakaś praca, jak w atmosferze mistycznej jakiegoś zapamiętania się w świecie poza czasem i przestrzenią. Wtem usłyszałem ciszym głosem wypowiedziane słowa:

— Bardzo żałuję, ale czas mój się kończy.

Pius XII wstał z krzesła, pobłogosławił nas i już go nie było.

W czasie obchodu rocznicy koronacji Ojca św. otrzymałem pozwolenie wstępu na salę zwaną Książęcą, było to nielada pomocą w portretowaniu Papieża. Stałem bowiem tuż obok tronu, w chwili gdy Ojciec św. udzielał błogosławieństwa obecny. Patrzyłem chciwie, jak wznosił w górę wolnym ruchem ramię; prześliczna, prawie przeźroczysta, miała dłoń i długie, wyraziste palce czynią znak krzyża św. — było to w moich oczach nieporównanej piękności dzieło sztuki. W tej chwili czułem, a raczej widziałem duszę tego człowieka.

Sprzyjało mi szczęście. Oto raz jeszcze dane mi było zerodkować na postaci Ojca św. skupione spojrzenie: na konsystorzu w związku ze zbliżającą się kanonizacją szwajcarskiego patrioty Mikołaja von der Flue. Odtąd nie widziałem już Papieża.

Zostały mi wrażenia, myśli i wzruszenia, płótno i farby. Chcę w dziele moim wydobyc na jaw wewnętrzną istotę Ojca św. Chcę wykraść mu duszę! Wysłałem się więc i trudzę, by tchnąć w pędle i farby ów eteryczny, stroskany, uniwersalny, a istotny czynnik duchowy jego osoby. Pius XII jest niewątpliwie najbardziej ludzki spośród Papieży, którzy kiedykolwiek zasiadali na wiecznym tronie Piotra”.

Jan Tokarski

ELŻBIETA KRZYSKA

(22)

PAMIĘTNIK MATKI

TYFUS

W ciągu całego tego czasu o mężu moim żadnej nie miałam wiadomości, mimo że zarówno Ambasada jak i Dowództwo Armii, przeniesione z Buzułuka do Jangi-Jul koło Taszkientu, niezmordowanie i stale interesowały u odnośnych czynników. Niepokój wzrastał w sercu, w umyśle szerzyły się wątpliwości, nigdy jednak nie straciłam nadziei, pamiętna słów umierającej Anny: „a w czym będzie Tatús chodził, gdy wróci z więzienia?”

Z końcem stycznia 1942 r. groźna epidemia tyfusu plamistego zaczęła dziesiątkować mieszkańców południowych republik. W czasie moich obchodów z ramienia Opieki Społecznej w każdym domu spotykałam się z tyfusem, szpitale były przepełnione, na kochozach ginęli ludzie dziesiątkami. Ludzie umierali w domach i na ulicach. Nie było jednak wśród nas obawy, bo i tak na nic by się to nie zdało. Zdaliliśmy się wyłącznie na wolę Bożą i Jemu poleciliśmy nasze dalsze losy.

Wreszcie i na nas przyszła kolej. Już kilka dni przedtem czułam straszne zmęczenie w nogach i ból kości. Każdy przymusowy spacer odbywałam z największymi trudnościami, zaciskając zęby i łudząc się, że może to tylko grypa, czy silne zaziębienie. Wieczorami piłam zdobywaną w ogonkach alkohol, przypuszczając, że może on, w braku innych lekarstw, zdusi męczącą gorączkę. Gorączka jednak podnosiła się szybko i doszła wreszcie do 40 stopni, a lekarz skonstatował tyfus plamisty.

I wtedy zaczęły się ze mną dzieć dziwne rzeczy. Organizmy nasze, krańcowo wycieńczone i wyniszczone, podatne były niezmiernie na różne przecucia i wycucia. Miało się wrażenie, że duch, pozbywszy się zupełnie zbytecznej wagi ciała, pracuje o wiele intensywniej, wyczuwa i widzi rzeczy dotąd dla niego niedostępne. Ze zjawiskiem tym spotykałam się wielokrotnie już przedtem, teraz doświadczylam go na samej osobie. Cierpienie — była to kwestia, która absorbowowała moje myśli już od najwcześniejszych lat życia. Zastanawiając się nad jego koniecznością dla wyrobienia charakteru i zbawienia duszy, prosiłam zawsze Boga, by mnie go jednak oszczędził — bałam się cierpienia. Z chwilą, gdy spadać na mnie zaczęły jeden po drugim straszne ciosy, starałam się znośić je mężnie, ofiarowując je Bogu i błagając, by stały się one pomocą w odzyskaniu wolności i uratowaniu mego męża. Z chwilą zapadnięcia na tyfus, w niezmiernie wysokiej gorączce ujrzałam jasno i wyraziście celowość tego łańcucha cierpień i zdałam sobie sprawę, że brakuje w nim jednego ogniva — cierpienia fizycznego. Powitałam moją chorobę z głęboką wewnętrzną radością i absolutną pewnością, że z niej wyjdę i że ognivo to jest ostatnim, które mnie czeka obecnie. Nie zastanawiałam się nad logiką czy praktycznymi możliwościami. Byłam tego tak absolutnie pewna, jak tego, że słońce świeci na niebie. Stan ten utrzymał się we mnie cały czas choroby,

aż do chwili, gdy przekonałam się o jego słuszności.

Równocześnie ze mną chorowała się Władka, w kilka dni później Tosia i Kazio. Kolejno zabierano nas do szpitala a w mieszkaniu pozostał pan J. P., moja mała Dzigunia i zająca nasza współlokatorka, pani Stasia. I znowu, po raz drugi danym mi było zetknięcie się z sowieckim szpitalem i wglądnięcie w jego organizację i działanie.

Ażeby zostać wpisanym na listę chorych, przyjętych do szpitala, przejść trzeba przez Izbę Przyjęć t.zw. „przyjomną”. Jak już poprzednio wspominałam, epidemie szerzyły się w owym czasie z zawrotną szybkością, tak że szpitale nie były w stanie pomieścić ani części chorych. „Pryjomna” była wtedy jednym z najpotworniejszych miejsc, gdzie widziało się w całym realizmie mękę rodzaju ludzkiego. Było to nieduże pomieszczenie, nigdy nie sprzątane i nie porządkowane. Na ławkach, zarówno jak na podłodze leżało pełno ludzi wygłodzonych, w łachmanach, trawionych gorączką. Nie podlegał oni regulaminowi szpitala, to też nikt się o nich nie troszczył, nikt nie podawał im nawet łyżki strawy, kawałka chleba czy łyku wody. Leżeli tak w przyjomnej nieraz po kilka, nieraz po kilkanaście dni. Wielu umierało z głodu czy choroby, nie doczekawszy się przyjęcia do szpitala. Byli tacy, co dostawali pomieszania zmysłów i nadawali się już tylko do domu obłąkanych.

Dzięki pomocy znajomego lekarza oszczędzonym mi było czekanie w przyjomnej. Po jakichś dwóch godzinach, spędzonych w zatocznej poczekalni, w tej samej poczekalni ogolono mi głowę i kazano rozebrać się do naga, mimo obecności wielu osób, w tym także mężczyzn i zaprowadzono do kąpeli. Zupewnie ogłuszona gorączką nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Kazano mi wejść do lepiącej się od brudu wanny i natychmiast oblać mi głowę i mnie całą wodą z naftą, która zalała mi oczy i usta. Rzekomo miała to być dezynfekcja, stosowana przeciw wszom. Następnie włożono na mnie męską szpitalną piżamę, głowę owinięto męskimi kałesonami — w braku innego ręcznika — zarzucono piasek na ramiona, sandały na boscie nogi. W tym stroju, z 40 stopniami gorączki, musiałam w kilkustopniowym mrozie przejść przestrzeń około 1/2 kilometra, dzielącą łaźnię od oddziału tyfusowego.

Tam sprawy całkiem inaczej się ułożyły, bo opiekę nad nami przejął lekarz chorób tropikalnych, obywatel polski wyznania mojąszowskiego, dla głębokich znajomości fachowych kierownik oddziału tyfusowego. Niestrudzoną swoją pracą i ustawicznym staraniem uratował życie setkom obywateli polskich; mocną, energiczną ręką trzymał podległym mu personel, uprzejmie, ale stanowczo narzucając swoją wolę kierownictwu szpitala. Kilkumiesięczna ofiarna jego praca zasługuje na specjalne wyróżnienie. Przy nim przemiała jego żona, najlepsza i najbardziej wykwalifikowana

siostra na oddziale tyfusowym i wreszcie młoda Zydówka Estera, uroczą, pełną poświęcenia niania.

Przez kilkanaście dni, poprzedzających kryzys, leżałszyśmy półprzytomnie, głuche, męczone nieustannymi snami i wizjami. Wreszcie niebezpieczny okres minął, charakterystyczny po tyfusie prawdziwie wilczy apetyt starali się zaspokoić znajomi, codziennie przemierzając dużą odległość do szpitala i przynosząc nam konieczne dożywienie. Wreszcie poszczególnej znajomi kolejno opuszczali szpital, by już w domu przejść okres rekonwalescencji.

Moje losy były nieco odmiennie. Tyfus przechodziłam normalnie i szczęśliwie, a tylko w czasie jedynej silniejszej zapaści serca „fachowa” sowiecka siostra zrobiła mi zastrzyk glukozu. Zastrzyk, dany domięśniowo zamiast dożylnie, spowodował ostrą, zakaźną flegmonę w całym prawie ramieniu.

Przeniesiono mnie na oddział chirurgiczny i dokonano operacji. Leżałam pod czujną opieką doktora obywatela polskiego, którego karty bucharskie również w wspomnienie zasługują. Przez cały okres naszego pobytu w Bucharze otaczał on Polaków specjalną opieką i na swoim oddziale przetrzymywał nieraz całymi tygodniami wycieńczonych biedaków, nie mających innego dachu nad głową, narażając się często na duże nieprzyjemności ze strony władz. Na oddziale chirurgicznym spędziłam przeszło trzy tygodnie, z przeżeniem patrząc na potworne rany i wchłaniając wyziewy ropy i zgnilizny. Ręka goiła się wolno, powodując co kilka dni nawroty wysokiej gorączki.

PIERWSZA RADOŚĆ

Któregoś dnia odwiedziła mnie dzielna pani Stasia. Wstawałam już wtedy trochę, tak że mogłam porozmawiać z nią na korytarzu. Jakaś dziwna, uroczystą miała minę i wreszcie po długich kółowaniach i przygotowawczych wstępach, wręczyła mi telegram z Ambasady: „Mąż zwolniony — jedźcie do Pani”. — A więc rację miała umierająca Anna i sprawdziły się przecucia. Z radością moją pozostałam tak samo sama, jak sama byłam z wielomiesięcznym cierpieniem.

Mąż mój tymczasem w dniu 5 marca zwolniony został z więzienia w Mołotowie, przyczem, na skutek dość energicznych żądań zwrócono mu złoty zegarek pamiątkowy oraz nieznaczną sumę pieniędzy, które zostały mu odebrane przed zamknięciem w więzieniu. Zegarek ten udało mu się, przy pomocy przyjaciół z jednej celi, wypuszczonych trochę wcześniej na wolność, zamienić na gorszy zegarek, na ciepłą odzież i na pewną sumę pieniędzy. Dało mu to możliwość rozpoczęcia dalszej podróży. Nie mogąc w samym Mołotowie nic o moich losach się dowiedzieć i nie orientując się zupełnie, gdzie jesteśmy, pojechał do Czusawoj, naszego uralskiego miasta powiatowego. Tam w N.K.W.D. odszukał tego samego urzędnika, który go 8 miesięcy przedtem aresztował. Urzędnik ten © Musees de Grasse, Alpes-Maritimes

był znanym naszym przesładowcą i mężowi memu niejednokrotnie groził, że nigdy już na wolność nie zostanie wypuszczony. Łatwo zatem wyobrazić sobie, jak bardzo widokiem męża był zaskoczony. Mimo ogarniającej go wściekłości musiał udzielić informacji, że wyjechałam wraz z dziećmi do Orska. Mąż mój udał się natychmiast na dworzec i ustawił się w długim ogonku, czekając na sprzedaż biletu kolejowego. W pewnej chwili ktoś zapytał go po rosyjsku, która godzina. W chwili, gdy łamaną ruszczyzną usiłował na to pytanie odpowiedzieć, podszedł do niego jakiś nieznaną człowiek o semickich rysach i rozpoczął rozmowę. Zadawał mu szereg pytań — czy jest Polakiem — czy wraca z więzienia — gdzie był poprzednio i wreszcie — jak się nazywa. Mój mąż był tą rozmową do najwyższego stopnia zirytowany. Po jego bladym wyglądzie, po opuchniętych rękach i stopach, po ogolonej głowie łatwo można było się domyślić, że wraca z więzienia. Wspomniałam przeżytych tam miesięcy, niekonających się godzin śledztwa i inwestygacji — zanadto były jeszcze świeże i tak, jak każdy był więzien w Z.S.R.R. nie mógł się oprzeć wrażeniu, że znowu jest śledzony i pilnowany. Opryskliwie odpowiedzi nie zrażały jednak przygodnego znajomego, który ostatecznie szepetem wymienił nazwisko mego męża. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieprawdopodobną sytuację: godzina 12 w nocy, mała uralska stacyjka, tłum obcych, jakby nierealnych ludzi, z których jeden zna nazwisko więźnia Polaka! Nie zdołał jeszcze mój mąż ochłonąć z wrażenia, gdy nowym znajomy spokojnym tonem wytłumaczył mu ten zbieg okoliczności. Wprawdzie sam nas nie znał i był zesłany na daleką Syberię, ale żona jego, występując pod panińskim nazwiskiem, była z nami w Korosteljewce. Po ogłoszeniu amnestii został zwolniony, odszukał żonę w Czusawoj i tam razem zamieszkali. Z korespondencji z naszymi wspólnymi znajomymi dowiedział się o moich tragicznych dziejach i o moim wyjeździe z Orska. W związku z tym nieraz z żoną o nas rozmawiali, tak że wiedział nawet o wyjątkowo młodym wyglądzie i charakterystycznych, ogromnie jasnych włosach mego męża, o tym, że był w więzieniu w Mołotowie i że zawsze palił fajkę. Zobaczywszy go na stacji, bezwiednie niemal skojarzył ten opis ze stojącym w ogonku więźniem i rozpoczął rozmowę. Zaprosił męża do siebie, gdzie pani Janka opowiedziała mu o nas i nie znając obecnego adresu, ale orientując się w ogólnym kierunku, radziła pojechać do Ksył-Ordy, gdzie adres mój jest wiadomy. Mój mąż oczywiście tej rady posłuchał. W czasie przymusowej przerwy w podróży, w Czkałowie zdołał skomunikować się z Ambasadą w Kujbyszewie, która natychmiast pośpieszyła mu z pomocą materialną i podała mój dokładny adres w Bucharze. Mimo to wstąpił po drodze do Ksył-Ordy, gdzie współtowarzysze z lasu uralskiego najserdeczniej go powitali i historię moją już szczegółowo opowiedzieli.

W dniu 25 marca dojechał do Buchary, w kilka godzin potem witałam go w szpitalu.

* * *

W dwa dni później, 27 marca przyszedł do mnie mąż niespodziewanie o godzinie 9 rano. Zapytał mnie po prostu, czy czuję się na siłach, by opuścić szpital i nazajutrz rano wyjechać z Buchary w kierunku granicy perskiej, dokąd ewakuuje się część polskich sił zbrojnych i ludności cywilnej. I znowu jedno z tych oslepiających, dech w piersiach tamujących wrażeń. Więc jednak wyjeździemy z tego kraju ponurej anegdoty, więc jednak będziemy znowu żyli życiem ludzi wolnych?... Oczywiście, że czuję się na siłach — choćbym miała ryzykować utratę prawej ręki!

Tego samego dnia o godzinie 10 rano odbywa się konsylium, w godzinę później leżę na stole operacyjnym, gdzie pod narkozą robią mi drugie cięcie:

O czwartej po południu, zaopatrzona w kilka proszków morfiny i pantoponu, opuszczam szpital bucharski. Reszta dnia i cała noc mijają na gorączkowym pakowaniu i zbieraniu manatów. Godzina 7 rano — już wszystko gotowe, zamówione dorożki podjeżdżają, ruszamy w drogę. Podtrzymywana przez współtowarzyszy, dochodzę do wagonu. W porannym słońcu mienią się błękitne kopuły dalekich meczetów — żegnają po raz osatni mijane stare cmentarzysko i najdroższe mi zwłoki córeczki. Dzigunia odmawia z przejęciem „Wieczny odpoczynek”.

Punkt zborny w Kermine — szukanie, bieganie, rwetes. Podobno ostatnie transporty już wyruszyły. W niepokoju i niepewności leżymy na polu za stacją, ręka boli mnie bardzo, temperatura dosięga 40 stopni. A jednak jedziemy dalej, dzięki pomocy przejeżdżającego transportu ze sztabu Armii Polskiej, Mijamy Czardzuj, Mary, dojeżdżamy do Aszhabadu. Już jedziemy wzdłuż granicy. Jadący z nami doktor Z. robi mi opatrunki. Stan ręki poprawia się stopniowo.

W Krasnowodsku jednodynioj postój na przystani, podczas którego z zadrzocią patrzymy na odpyływające, zapełnione już statki. Przeżywamy niejedną przygodę, niejedną rozterkę, zmęczeni jesteśmy bardzo, ale to wszystko nic — i tak los nasz godny jest pozazdrośczenia. Wreszcie ładują nas na statek — ruszamy. Trzy dni spędzamy na rozkołysanych, wzburzonych falach Morza Kaspijskiego. Nieduży nasz statek załadowany jest do ostatniej szpilki. Tłok panuje wszędzie, w kabinach, na schodach, na korytarzach. Ludzie chorują, cierpią, umierają. Ale to wszystko nic, bo przecież dobijamy już do portu Pahlewi.

Dnia 5 kwietnia 1942 r., w pierwsze święto Wielkanocne stajemy na ziemi perskiej. W dzień Święta Zmartwychwstania Pańskiego — my, bezdomni polscy tułaczcy — idziemy ku Zmartwychwstaniu

Elżbieta Krzyńska

(Koniec)